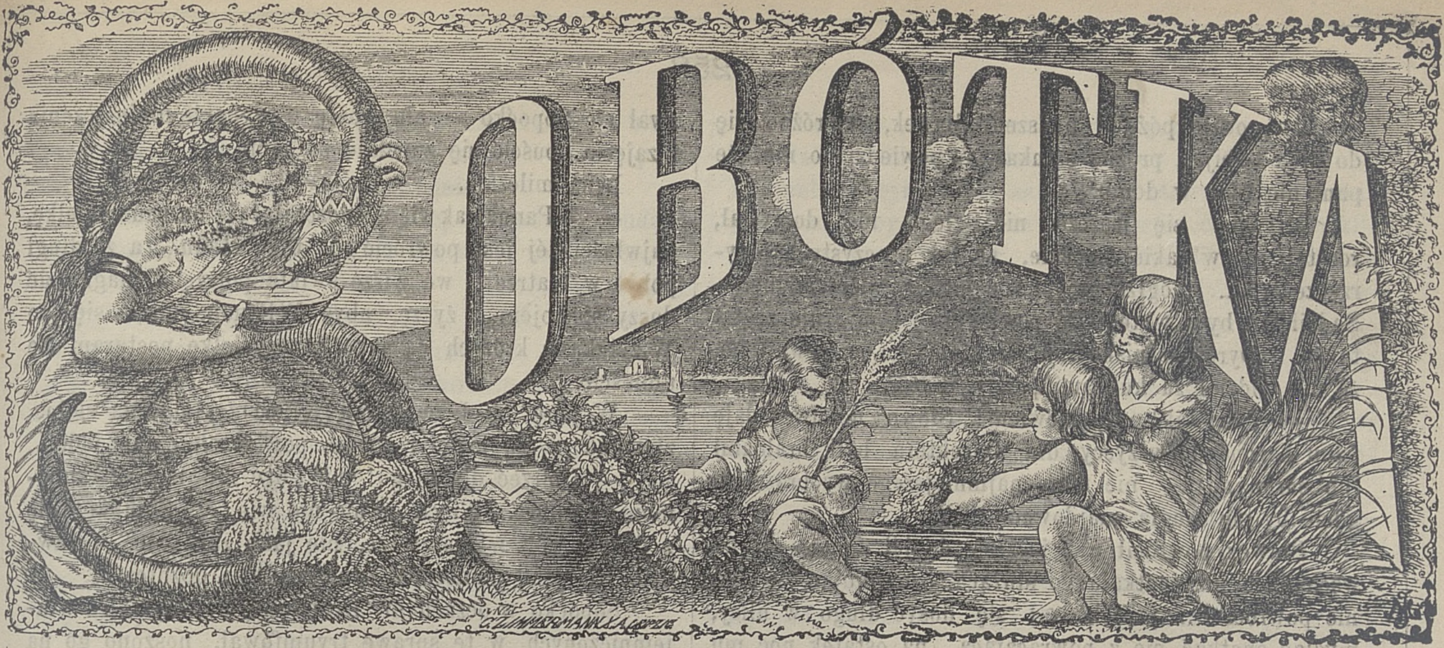


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 32. Poznań, dnia 7 Sierpnia 1869. Rok. I.

W MĘTNÉJ WODZIE.

Obrazki współczesne

przez **J. I. Kraszewskiego.**

(Dalszy ciąg.)

— A dla czegoż bywać poprzestał? zapytała zamyślona.

— Nie wiem... może go tam ogadano... może... ale ja prawdziwie nie wiem.

— Biedne dziecię cierpieć musiało! cicho dodała Lena. Pan tam bywasz?

— Tak jest, znam te panie.

— Nie wiesz przyczyny tego nieporozumienia.

— Nie... wahając się, rzekł Samiel.. nie domyślam się...

— A ja... łatwo je odgaduje! szepnęła Lena, żegnając go ukłonem i oddalając się szybko... Samiel, który był ciekawym bardzo, równie żywo pogonił za nią. Zdaje mi się, rzekł, że pani odgadujesz fałszywie!!

Na te słowa jeden z dawnych natrętnych adoratorów Leny, Jasiek... przyskoczył i ukłonem powitał artystkę...

— O co tu idzie? zapytał... o co?

— Pan znasz te panie? podchwyciła Lena.

— A jakże, nie! znam! hr. Wartska i p. Jadwiga, kuzynka a bodaj narzeczona Podkomorzyca.

— Widzisz pan? odwracając się do Samiela — odezwała się Lena, pan mi tego nie mówiłeś? ona jest narzeczoną...

— Nie mówiłem, bo jeszcze dotąd przynajmniéj nią nie była...

— Oto mi mówisz — przerwał gorąco Jasiek, całe miasto o tém wie? jeśli od pewnego czasu stósunki te ostygły... są może przyczyny!! dodał, bystro spoglądając na Lenę, która oczy spuściła.

Biednéj Lenie zimno było, gorąco i słabo, ruchem głowy milczącym pożegnała tych panów szybko i pobiegła ku domowi na pół obłąkana...

Wpadła nieprzytomna prawie do swego pustego saloniku, zaryglowała drzwi wewnątrz i poczęła płakać, chodząc po nim, a twarz tuląc rękami.

— A! jaka ona piękna! wołała — jak świeża i piękna! jak na niéj znać gołąbka, który się wypieszczony pod skrzydłem matki wychował!... Jemu takiego serca, takiéj było potrzeba istoty świeżéj, niewinnéj... a nie jak ja zniszczonéj i uwiędłéj... życiem zmęczonéj z oczyma i sercem wypłakaném. A! czyż ja godną jestem, aby mój wzrok spoczął na nim, ...A przecież uchwyciłam się go, narzuciłam mu, stanęłam mu może na drodze do szczęścia... Widziano mnie z nim... doniesiono... to biedne dziecię cierpieć musiało... on także! ale dla mnie zniósł i nie dał nawet poznać po sobie...

Godzi się, bym ja trupem moim drogę mu do szczęścia zaparła? Nie — nie! byłabym podłą.

Wolę być nieszczęśliwą niż nikczemną. A! tak przy nim, u jego boku byłam niebiańsko szczęśliwą, spokojną... odmłodzoną... ale trzeba się zdobyć na męstwo, umieć kochać poświęceniem, nie egoizmem... i choćby umrzeć dla niego!

Zapalając się tak coraz bardziéj, Lena wpadła w rodzaj szału... łzy płynęły z jéj oczów, łamała ręce, chodziła, klękała... modliła się i płakała znowu, rzucała się na sofę, wstawała... była chwilami obłąkaną... Nareście przetrwawszy tę walkę z sobą, nagle porwała się pakować rzeczy... zawołała sługę... zamknęła drzwi i gdy

w kilka godzin późniéj nadszedł Sławek, napróżno się do nich dobijał, próżno sztukał — powiedziano mu, że pani nie było w domu.

Młyński się jeszcze nic złego nie domyślał, rozstali się w takiéj zgodzie, po tak uroczystych przyrzeczeniach... mógłże przypuścić jaką w niéj zmianę?— Sądził, że była w teatrze, powlókł się tam i nie zastał także. Dyrektor nisko mu się kłaniając, zapewnił go, że nie widział za kulisami panny Prater.

— Tak! tak! nic niewiem! Słowo uczciwe daję panu baronowi (wszyscy dla Dyrektora byli hrabiami lub baronami) — nie mam najmniejszego wyobrażenia, gdzie by się mogła znajdować.

Sławek powrócił raz jeszcze do jéj domu, ale na wschodach już spotkała go służąca, oznajmując, że pani nie powróciła... przechadzał się dosyć długo w ulicy, myśląc spotkać się z powracającą, na ostatek noc mu odjęła nadzieję, smutny, zdziwiony, niespokojny poszedł do siebie.

Nazajutrz niespokojny trochę, nie odebrawszy ani kartki, ani żadnego znaku życia od Leny, wstał raniéj, niż zazwyczaj i pobiegł do niéj. Na kamienicy uderzyła go przylepiona karteczka o mieszkaniu do wynajęcia.... na górze salonik zastał pusty, papiery porozrzucane po podłodze... meble porozsuwane, wszystkie oznaki nagłego pakowania się i wyniesienia... Lena w istocie w nocy jeszcze wyprowadziła się z mieszkania, nikt nie wiedział dokąd... W domu ani sługi, ani nikogo nie było, któryby najmniejszą mógł dać wiadomość lub wskazówkę do zrozumienia przyczyny i celu tak nagłego wyjazdu. Gospodarz mruczał, że mu za kwartał zapłacono — ale z temi aktorkami — dodał, to licho ich wie, kiedy to wyleci i dokąd... Ot i to! zdawała się osoba porządna — stateczna: wczoraj jeszcze mówiła zemną, że z lokalu kontenta... żeby jéj tylko piec na zimę postawić. Mówiłem, jeśli nie postawię, to poprawię... A wieczorem, łap, cap.., płać! jedź! nie wiedzieć dokąd!! Dowiedział się Sławek tylko, że sprowadzono wóz, który zabrał ją, sługę i rzeczy...

W tém wszystkiém Sławek czuł niewidomą rękę wujaszka Sopoćki i to go najwięcéj przerażało... W istocie saméj Sopoćko skorzystał wcale niespodzianie z eksaltacyi chwilowéj biednéj Leny... Nadszedł on wieczorem, gdy już postanowiła była uciekać, nie wiedzieć jeszcze dokąd, aby tylko nie być Sławkowi ciężarem i w obec świata nie kompromitować go sobą. Lena myślała, że przebędzie dni kilka ukrytą w zajeździe, a potém znajdzie na wsi lub mieście choćby najbiedniejsze zajęcie nauczycielskie, robotę ręczną, co bądz... byle z głodu nie umrzeć. Na te marzenia wszedł Sopoćko... Wiedział on od Dyrektora, że Lenie dano z teatru odprawę, chciał korzystać z pierwszéj chwili niepewności i trwogi. Wsunął się tym razem, łagodząc wyraz twarzy...

Niespodział się wcale, że siostrzenica przyjmie go teraz... zdając mu się na łaskę... nie zrozumiał nawet téj zmiany w niéj i przypisywał ją samemu sobie.

— Ofiarowałeś mi pan pomoc swoję — zawołała — biorę go za słowo... Nie jestem już w teatrze, nie mam się gdzie podziać... wskaż mi pan, jeśli możesz, gdzie się umieścić.

— Ja com powiedział raz, nie cofam nigdy — odezwał się Sopoćko — ale proszę w wyborze umieszczenia i zajęcia spuścić się zupełnie na mnie...

Lena milczała...

— WPanna, jak wiem, sposobiłaś się na nauczycielkę, najwłaściwiéj jest powrócić do tego stanu... a że długi pobyt w teatrze [i we wirze świata potrzeba nagrodzić duszy spokojem.,. życzę, abyś WPanna udała się do Wizytek, u których ją jako nauczycielkę postaram się umieścić...

W parę dni Lena, która się wyrzekła sama siebie, złamana niemą jakąś rozpaczą powtarzała ciągle jedno.

— Umrzeć dla niego! nie być mu u szyi kamieniem! Umrzeć... Niech on nic nie wie...... Zamknęła się z dobréj woli w klasztorze, nie jako zakonnica wprawdzie, ale jako pomocnica nauczycielki i dozorczyni.

Sopoćko w oczach hr. Dreissowéj i wszystkich wtajemniczonych w tę sprawę tryumfował, noszono go na rękach, sadzano na pierwszém miejscu, słów nie umiano wynaleść na pochwały dla niego, gorliwości jego, zręczności — siły przekonania, jaką posiadał.

Następnych dni pensyą Pań Wizytek odwiedzały wszystkie protektorki i tercyanki ciekawe, zdala przypatrując się téj ocalonéj istocie, która chodziła niema, milcząca, posłuszna, z oczyma osłupiałemi, nieprzytomna ale zrezygnowana do odrętwiałości. Słowa się było od niéj trudno dopytać – a wyraz jéj twarzy przerażał. Posłuszeństwo jednak było tak przykładne, iż nic jéj zarzucić nie umiano... W godzinach nabożeństwa szła do do kaplicy, klęczała, ale usta jéj się nie poruszały, oczy wlepione w jedno miejsce, a jeśli rozłożyła książkę — na jednéj karcie trzymała ją tak rozłożoną przez mszę całą...

Dla sióstr, dla świeckich pań, dla wychowanic był to przedmiot podziwu, litości, współczucia... a może i szyderstwa. Wskazywano ją sobie, jako przykład stanu duszy, który się zyskuje na obcowaniu ze światem... Poczciwe siostry napróżno usiłowały przynieść jéj ulgę w cierpieniu, nie przyznawała się do niego..

Wszystko przeszłe wydawało się jéj snem... a pozostała reszta życia.. powolném konaniem.. I mówiła sobie w duszy, aby się ukrzepić — umrę dla niego... a w ostatniéj godzinie wszak niema na świecie tak nielitościwéj istoty, która by mi go zobaczyć i pożegnać nie dozwoliła!!

Sławek biegał ale gniewny, burzyło się w nim wszystko. To łatwe zwycięstwo intrygi nad nim, nad nią młodą, jego duszę napełniało oburzeniem. Był pewnym, że użyto siły, grozy, podstępu może, aby mu Lenę odebrać i uspokoić się nie mógł. Przez parę dni nie spoczął na chwilę, poszukując na wszystkie strony śladów zniknéj, ale nic nigdzie nie mogąc wynaleść. Nareszcie postanowił oko w oko spotkać się z nieprzyjacielem, dowiedział się, gdzie mieszka Sopoćko i poszedł do niego. Nie łatwo wszakże z nim w domu widzieć się było, bo nigdy nikogo u siebie nie przyjmował. Mieszkał na trzeciém piętrze w lokalu zajmowaném od lat wielu, do którego nawet gospodarz nie miał wstępu. Wszystkie zgłoszenia przyjmował na piśmie. Wkładano je do skrzynki przybitéj do drzwi. Nie było przykładu, ażeby się go kiedykolwiek dodzwonił, choćby o szóstéj rano. Wychodził z domu, zabierając klucze z sobą, wracał

i zamykał się, służącéj nie dopuszczał robić u siebie porządku, mówiąc, że sam starczy sobie — wodę przyniesioną stawiono mu podedrzwiami.

Można sobie wyobrazić, jaką ciekawość obudzało mieszkanie, tak szczelnie od lat wielu zamknięte, do którego nikt nigdy nie wchodził. Opowiadano o niém osobliwsze rzeczy, ale faktem było, że nikt do niego nie zajrzał. Sopoćko nie wszedł i drzwi nie otworzył, dopóki kto stał przy nim, — natychmiast za sobą ryglował. Okna jego pokoików wychodziły w ciasną uliczkę, tak że przez nie, gdyby były otwierane, cośby we wnętrzu zobaczyć można, ale ani podwójnych nie wyjmowano, ani oprócz małych szybek otworzono co kiedy... Zresztą zapuszczał story... a w wieczór migało tylko przez nie światło, które u niego po całych nocach czasem widzieć się dawało.

Nie było powodu urzędowie się dostawać do mieszkania tajemniczego człowieka, który zresztą z władzą i z policyą był w jak najlepszych stósunkach, ale nie jeden wiele by był dał, żeby się dostać do tych troskliwie zkrywanych izdebek. Sopoćko wychodził do kościoła rano, obiad jadł w mieście, w domu nigdy nie potrzebował pić ani jeść... wracał późno... i zamykał się — gdy go się pytano, dla czego u niego po nocach bywało światło — odpowiadał, że się modlił długo.

Sławek dowiedział się, złotówkę dawszy stróżowi domu, iż próżno by biegał tu, chcąc się widzieć z czcigodnym Ritterem...

— Już to, Jaśnie Panie! łatwiéj się do namiestnika dostać, niż do niego, mówił stróż — już to — panie, nie praktykowana rzecz, żeby tu kto dostukał się i dodzwonił. Jego bo i nigdy w domu niema... (D. c. n.)

Klasztory w Poznaniu.

(Z ryciną. Zob. str. 261).)

W ostatnich czasach występowano dość często i dość gwałtownie przeciw zakonom, utrzymując, że duchowne te instytucye, oddające się modlitwie, utrapieniu ciała i usłudze bliźnich, nie odpowiadają już dzisiaj duchowi czasu. Występowano i występują przeciwko nim głównie z powodu tego, że zakony już się przeżyły, bo zdanie, które im w czasach dawniejszych tyle przynosiło zaszczytu i śród chrześcijańskich ludów takie wielkie jednało poszanowanie, wypełnia dzisiaj daleko lepiej i stósowniéj tysiąc innych świeckich zakładów publicznych. Nie są to wszystkie i nie najcięższe zarzuty, które w naszym wieku zakonom opinia publiczna zadaje, nie myślimy też tu wszystkich przytaczać lub zastanawiać się nad ich słusznością lub niesłusznością. Nikt zapewne twierdzić nie będzie, jakoby przy dzisiejszych stósunkach postępu i oświaty, zakony były rzeczą dla szczęścia ludzkości nieodzowną, wszakże z drugiéj strony zaprzeczyć się nie da, że jak dawniéj tak i dzisiaj wyświadczają one społeczeństwu wiele dobrych przysług i zastępują w niejednym względzie wcale godne instytucye świeckie. Dość wspomnieć o wszystkich tych zakonach żeńskich, które się zajmują wychowaniem młodych dziewcząt, dość wspomnieć o żeńskich zakładach zakonnych, które podają przytułek i opiekę ubóstwu i sierotom, które z uznania godnem poświęceniem pielęgnują chorych.

Ojcowie nasi w lepszych a szczęśliwszych czasach poświęcali znaczne fundusze na wznoszenie kościołów i wyposażanie klasztorów. Nie było w całéj Polsce ani jednéj zamożniejszéj rodziny, któraby w rozległych swoich dobrach nie zbudowała własnym kosztem kościoła z klasztorem, nie było ani jednego domu szlacheckiego, któryby nie złożył choćby i najskromniejszego votum dla okolicznego klasztoru. Zakonnicy umieli być za to wdzięcznymi, a o ich wdzięczności przekonywają nas dotąd liczne portrety ich dobroczyńców o sarmackich rysych porozwieszane po ścianach kościołów klasztornych.

W Poznaniu liczba zakonów za polskich czasów, przed ich zniesieniem przez rząd po rozszarpaniu kraju była nie mała; było ich 8 świeckich a 5 żeńskich.

Podajemy tu krótkie zapiski historyczne o poznańskich klasztorach.

Jednym z najstarszych w Poznaniu był klasztor **Dominikanów**. Zakon ten sprowadził do Poznania biskup poznański, Paweł I r. 1231 za księcia Władysława Odonicza. Początkowo umieszczono Dominikanów na Śródce, przy kościele św. Małgorzaty. Książę Przemysław I przeniósł ich za zezwoleniem ówczesnego biskupa Boguchwała na lewy brzeg Warty, gdzie wznieśli sobie kościół i klasztor na tém miejscu, na którém się dzisiaj kościół podominikański znajduje. Zakon ten utrzymywał za polskich czasów nowicyat i liczył kilkudziesięciu członków. Mury klasztorne zostały w r. 1865 rozebrane a na ich miejscu buduje się zbrojownia dla artyleryi pruskiéj.

Kościół św. Archanioła Michała położony za miastem, oddany został 1170 roku przez Mieczysława Starego wraz z szpitalem **Kawalerom Maltańskim** z obowiązkiem dawania przytułku ubogim i pielęgnowania chorych w szpitalu. Zaniedbali oni jednak z czasem obowiązku na siebie włożonego, a dobra szpitalne służyły ku wygodnemu życiu ich przełożonych, zwanych **Komandorami**. Takich komandorów było od 1250 roku 32, ostatnim z nich był Andrzéj Miaskowski obrany 1781 r. Pod kościołem były trzy sklepy, w jednym z nich znajdowały się groby Kawalerów Maltańskich, w drugim chowano szlachtę, a trzeci był miejscem spoczynku dla ludzi rozmaitego stanu.

Karmelici trzewiczkowi zostali umieszczeni w klasztorze przy kościele Bożego Ciała zbudowanym przez Władysława Jagiełłę 1399 r., jak o tém szczegółowo rozpisuje się dziejopisarz Wapowski. Kościół ten słynny był z cudowności, lud polski pielgrzymował do niego z dalekich stron, a biskupi poznańscy, ile razy wstępowali na katedrę biskupią, udawali się zawsze najprzód do Bożego Ciała składać Najwyższemu pokłon. Karmelici trzewiczkowi utrzymywali w klasztorze dość liczny nowicyat. Obecnie jest przy Bożém Ciele zajętych nabożeństwem kilku Reformatów.

Bernardyni wprowadzeni zostali 1456 r. i wznieśli roku 1473 za zezwoleniem magistratu poznańskiego i przy pomocy prywatnych funduszów świętobliwego biskupa poznańskiego Andrzeja z Bnina najpiękniejszy kościół, który przedstawia załączona tu rycina. Obie wysmukłe wieże, zdobiące wspaniały kościół, są 170 stóp wysokie, zbudował je 1731 r. budowniczy Steinert z Leszna. W kościele tym są największe organy na całą Wielkopolskę o 32 głosach. Przy klasztorze był dość liczny nowicyat, a w 1693 r. było samych zakonników 90. Podczas wojen z Szwedami i Brandenburczykami ucierpiał kościół i klasztór równie jak i inne bardzo wiele. Szwedzi stojący załogą w Poznaniu spalili kościół i klasztór. W ostatnich czasach, w r 1864, został kościół zrestaurowany przez budowniczego Schulza i malarza Bonka. Klasztór zaś zamienił rząd pruski r. 1835 na alumnat uczniów sposobiących się do stanu duchownego.

(Dokończenie nastąpi.)

O Unii Lubelskiéj

napisał

Wincenty Sarnecki.

Zbliża się chwila uroczystego obchodu jednego z najważniejszych wypadków w dziejach naszych. Dnia 11 sierpnia bieżącego roku przypada 300 letnia rocznica aktu Unii Lubelskiéj, aktu, który połączył na zawsze dwa narody, w bratnim uścisku objął dwa kraje: Polskę i Litwę, a bezpośrednim skutkiem téj unii połączył z Polską Ruś, któréj jedna część, tj. Ruś czerwona należała do Polski od roku 1340 za czasów panowania Kazimierza Wielkiego, a druga część będąca w posiadaniu Litwy tj. Wołyń, Podole i Ukraina wraz z nią weszła w skład ziem polskich.

Zdawałoby się więc, że Unią Lubelską objęte zostały 3 narody a nie dwa, tj. polski, litewski i ruski? Myliłby się jednakże, ktoby sądził, że Ruś jest zamieszkaną przez ludność odrębną od polskiéj ludności. W najdawniejszych czasach mieszkali nad Bugiem, Sanem, Dniestrem i Dnieprem Polanie, ten sam naród, który przebywał też nad Wisłą. Obce rządy wprowadziły nad Dniepr chrześcianizm obrządku wschodniego i całéj ludności nadały nazwę Rusinów, od swego miana plemiennego Rusów. Ztąd powstała pozorna różnica między Polanami nad Wisłą i Polanami nad Dnieprem. Rządy obce opuściły później kraje naddnieprskie, dziwnym jednakże sposobem nazwa Rusinów i Rusi pozostała, ale nic innego odtąd nie oznacza nad różnicę między Polakiem obrządku rzymskiego i Polakiem obrządku wschodniego — tak więc nie łączyła się Ruś i Polska z Litwą, ale jednoplemienna ludność z nad Dniepru, Sanu, Dniestru i Bugu i Wisły t. j. mówiąc krótko Polacy z Litwinami.



Zygmunt August.

Być może, że czytelnicy nie są dostatecznie pojaśnieni niniejszym ustępem; wspomnieliśmy w nim o Rusi o tyle tylko, ażeby wskazać, dla czego Unia Lubelska wymienia dwie tylko narodowości, obszerniejszy zaś wykład zostawiany do następnych rozdziałów, w których mówić będziemy o saméj Rusi.

Roku tedy 1569 stanął na sejmie Lubelskim akt podpisany dnia 1 lipca, przez stany obudwu krajów za panowania Zygmunta Augusta. Akt wiekopomny w dziejach nie tylko Polski ale w historyi całego miasta. Nie przymus i siła łączyła dwa narody, ale wspólny interes w obec zaborczego ducha Moskwy i Niemiec, wspólna obrona swego bytu, pokrewieństwo wywołane wspólnością wiary i ustaw społecznych. Akt wyraża się: dla mocniejszego spojenia wspólnéj i wzajemnéj miłości braterskiéj i w wiecznéj obronie obudwu państw społecznéj, niewątpliwéj wiary braterskiéj, czasy wiecznemi ku chwale Bożéj, Jego Królewskiéj Mości z wiecznem podziękowaniem godnéj sławie i tychże obudwu najzacniejszych polskiego i litewskiego narodu i téż ku rozszerzeniu niezmierzonéj i wiecznéj czci ozdobie, okrasie, zmocnieniu uczciwości, zacności i majestatu wspólnego wiecznemu rozszerzeniu stare sprzymierzenia ponowiono, a ponowiono w następujący sposób:

1) Królestwo Polskie i Wielkie Księstwo Litewskie jest jedném, nierozdzielném ciałem, jedną, wspólną Rzeczpospolitą, która się ze dwu państw i narodów w jeden lud zrosła i spoiła.

2) Połączonym narodom wiecznemi czasy jedna głowa, jeden pan i jeden król wspólny rozkazuje, obrany wspólnemi głosy od Polaków i od Litwy — miejsce obierania w Polsce, koronacya w Krakowie. Rady i wszystkie stany Korony Polskiéj i Wielkiego Księstwa Litewskiego używane być mają.

3) Obieranie i podnoszenie Wielkiego Księcia Litewskiego, które przedtém osobno bywało w Litwie, ażeby tak ustało, żeby i znak żaden albo podobieństwo napotém nie było, z któregoby się okazywało albo znaczyło podnoszenie albo inauguracya Wielkiego Księcia Litewskiego. A iż tytuł Wielkiego Księcia Litewskiego i urzędy zostają, tedy przy obieraniu i koronacyi ma być zaraz obwołan królem polskim i tenże wielkim księciem litewskim, ruskim, pruskim, mazowieckim, żmudzkim kijowskim, wołyńskim, inflanckim.

4) Przy koronacyi nowego króla mają być przez króla koronowanego sprzysiężone i zaraz konfirmowane na jednym liście i jednemi słowy, na wieczne czasy prawa, przywileje i wolności poddanych wszystkich, obojga narodów i państw.

5) Sejmy i Rady obadwa narody mają mieć zawsze wspólne koronne, pod królem polskim, panem swym, i zasiadać tak panowie między pany osobami swemi, jak posłowie między posły i radzić o wspólnych potrzebach tak na sejmie jako i bez sejmu w Polsce i Litwie.

6) Też aby jedna strona drugiéj była radą i pomocą, aby JKMość prawa, przywileje tak wszystkim ziemiom i narodom, tak Korony Polskiéj, jako Wielkiego Księstwa Litewskiego i ziemiom do nich należącym, wszelakiem pismem nadane przywileje i prawa od wszech przodków JKMości i od JKMości samego, z dawnych czasów i od poczęcia Unii wszem w obec i każdemu z osobna jakimkolwiek sposobem nadane wolności, dostojeństwa, prerogatywy, urzędy obojga narodów cale i nieporuszone zachował wszystkie prawa, sądy.

Stany książęce i familie szlacheckie rzeczonych narodów, uchwały sądowe z dawna do tego czasu, zachować każdemu stanu mocnie, nieporuszenie.

Przysięgi Rad, Dygnitarzów, Urzędników, Starostów narodu litewskiego i przedniejszych domów ludzi, którzyby je czynić mieli, przy mocy zostać mają, jakośmy też i sami sobie ogólnie tak przywilejami, jako wspólném spisaniem na sejmie warszawskim ogólnym, zostawili tym wykładem, iż na potém wszystkie takowe przysięgi królowi koronowanemu i Koronie Polskiéj uczynione być mają.

We wszystkich przeciwnościach wspólną pomocą my, obojego narodu Prałaci, Rady, Barones i wszystkie stany pomagać sobie mamy wszystkiemi siłami i wszelką mo-

żnością, jako wspólnéj radzie pożytecznie i potrzebnie będzie się zdało szczęśliwe i przeciwne rzeczy za wspólne rozumiejąc i wiernie sobie pomagając.

Pokój, zmowy i przymierza z postronnemi narodami wedle wspólnéj zgody warszawskiéj na potém żadne czynione ani stawione, żadni téż posłowie w rzeczach ważnych do obcych stron posełani być nie mają; jedno za wiadomością i radą wspólną obudwu narodów, a przymierza albo stanowienia z którymkolwiek narodem przedtem uczynione, które by były szkodliwe któréj stronie dzierzane być nie mają.

Moneta tak w Polsce jako i na Litwie ma być za wspólną radą, jednaką i równą, co ku skutkowi przywieść JKMość jest powinien i potomkowie JKMości będą powinni.

Cła, myta wszystkie w Polsce i w Litwie, ziemskie i wodne, jakim kiedykolwiek imieniem nazwane tak królewskie, jako szlacheckie, duchowne i miejskie, JKMość znosić raczy, iżby już odtąd żadnego cła nie brano na potem wiecznych czasów od duchownych, od świeckich ludzi szlacheckiego stanu i od innych poddanych od rzeczy którychkolwiek własnéj roboty i wychowania, nie zakrywając myt kupieckich, ani się zmawiając z kupcy, ku szkodzie a zatajeniu ceł zdawna zwykłych królewskich tak w Polsce jak w Litwie.

Statuta i ustawy wszystkie, jakiekolwiek i z któréjkolwiek przyczyny przeciw narodowi polskiemu w Litwie ustanowione i uchwalone około nabywania i dzierżenia imienia w Litwie Polakowi, jakkolwiek by go koło dostawał i dostał, chociaż po żonie, albo z wysługi, albo



Kościół Bernardynów w Poznaniu.

za kupnem, darowanym obyczajem, zamianą i którymkolwiek nabyciem, wedle zwyczaju i prawa pospolitego te wszystkie statuta, aby żadnéj mocy nie miały jako prawa sprawiedliwości i téż wspólnéj braterskiéj miłości i Unii a zjednoczeniu wspólnemu przeciwne, ale aby wolno zawsze było tak Polakowi w Litwie jako Litwinowi w Polsce, każdym szłusznym obyczajem dostawiać imienia i dzierżyć je wedle prawa, w którém leży ono imienie.

Wołyń, Kijów i Podlasie wracają do Korony, zrównana w przywilejach z Polską, z zastrzeżeniem wolności bez względu na wyznanie.

Te są główne punkta aktu lubelskiego, oryginał istnieje pargaminowy na wielkim foliale, charakterem pięknym pisany. U dołu wisi pieczęć mniejsza koronna, na sznurze kręconym z sznurków koloru papuziego, białego, żółtego, karmazynowego. Brzeg pieczęci jest trochę nadpsuty. Na akcie podpisany jest król Zygmunt August i wymienieni panowie świeccy i duchowni obudwu narodów, składający Rady koronne. (C. dal. n.)

Lelewel w Brukselli.

(Dokończenie.)

Okazywał się on w ogóle nader przystępny i łatwy, w pożyciu wielce był rad, kiedy go odwiedzali rodacy przebywający za granicą lub przyjeżdżający z kraju. Rodaczki ujmował staropolską grzecznością, miał dla nich zawsze w pogotowiu kilka zabawnych anegdotek, które umiał opowiadać z wybornym humorem, tém szacowniejszym w tak poważnych ustach. Natomiast wypytywał się z dziennikarską a raczéj kronikarską ciekawością o mnóstwo szczegółów tyczących się kraju, najcierpliwiéj słuchał opowiadań, gawędek a nawet

ploteczek, któremi uzupełniał sobie postrzeżenia o kraju, jak z pieśni ludowych, starych napisów lub medali uzupełniał sobie wyobrażenie o zamierzchłéj jakiéj epoce ludowéj. Każdy Polak lub rodzina polska przejeżdżająca przez Bruksellę uważała za patryotyczną powinność odbyć pobożną pielgrzymkę do ubogiego mieszkania na ulicy des Eperonniers, za które Lelewel płacił z meblami aż 20 fr. miesięcznego komornego.

Żył w ścisłych stósunkach z wielu wychodźcami — pomiędzy innymi: z M. J. Straszewiczem, który wydał jego Numizmatykę średnich wieków, ze znakomitym ekonomistą L. Wołowskim, z Karolem Sienkiewiczem, znanym poetą i historykiem, który do niego z Paryża kilkakrotnie przyjeżdżał — z przebywającymi jednocześnie w Bruksellі: dobrze znanym w kraju i na wychodźtwie historykiem i publicystą Wiktorem Heltmanem, ze Lwem Sawaszkiewiczem, autorem niepośledniéj pracy historycznéj: Porównanie wypraw na Moskwę Stanisława Żółkiewskiego i Napoleona, uwieńczonego przez tutejszą akademią dzieła: du Génie de l'Orient itd. Łączyła go nadto codzienna zażyłość z adwokatem Lublinerem, który prócz wielu francuzkich publikacyi prawniczych i politycznych, tyczących się sprawy naszéj, zasłużył się dobrze sprawie naszéj takiemi pracami, jak znane pismo pod napisem: Obrona Żydów zamieszkałych w Polsce, a mianowicie téż broszurą: O napaści na Żydów, p. Lesznowskiego, redaktora Gazety Warszawskiéj. — Broszurka ta z powodu złośliwego artykułu w téj gazecie przeciwko Żydom i replik ze strony napadniętych — sub auspiciis Lelewela napisana i poważném jego słowem poparta, dostawszy się do Warszawy w 1859 roku przemyślnym sposobem wielkie wywarła wrażenie w całym kraju, gdzie od czasu wyraźniejszego postawienia kwestyi żydowskiéj — życie polityczne budzić się zaczęło.

Lubliner — zmarły przeszłego roku w Bruksellі odważnie walczył w powstaniu 1831 roku i był od początku wychódźtwa jednym z tych patryotów polskich starozakonnych, co to — jak mówią Francuzi — dumnie nosząc swoję żydowszczyznę, szczycili się, iż z niéj pochodzą.

Lelewel lubił go i nie mógł wątpić o ludowych zasadach swojego prawie — wychowańca, którego zwano jego adjutantem. Raz jednak Lubliner, który nie od znaczał się małomównością, wygadał się przed nim, iż rozgniewał się i wyłajał swoję kucharkę, która sprzątnąwszy pokój — ośmieliła się przy nim odpocząć w salonie na kanapie.

Lelewel nic mu nie odpowiedział — ale na długo Lubliner wypadł z jego łaski i nieraz przed znajomymi nazywał go: zakamieniałym arystokratą.

Ten bowiem historyk oględny, jak go nazywa Mochnacki, ten człowiek polityczny niezbyt śmiały i nazbyt pobłażający, ten wreszcie łagodny i żartobliwy staruszek nie oszczędzał nikogo w słowie, jeśli rzecz tyczyła się krzywdy ojczyzny, nie odstępował ani na krok od społecznych, ludowych zasad, które w codzienném życiu słowem i czynem w każdym szczególe wypowiadał.

Im kto biedniejszy, gorzéj ubrany, a pracowity przyszedł go odwiedzić, tém go chętniéj przyjmował, tém go uważał za bliższego sobie.

Służącą swoję a raczéj komisyonerkę, którą za sprawunkami na miasto wysyłał, Maryannę Borysiewicz, zwaną Maryanką, sam zawsze prosił siedzieć i gościom przedstawiał. Obywatelka ta, wiwandyerka francuzka z 1812 roku, ozdobiona medalem św. Heleny — poszedłszy zamąż za żołnierza Belga służącego w armii francuzkiéj, przybyła do Bruksellі w 1814 i dotąd pozostaje.

Codziennie chodził i przepędzał parę godzin u gospodyni swojéj pani Piron, która utrzymuje golarnią. Córkę jéj młodszą trzymał do chrztu i bawił się z nią, ucząc wyrazów polskich.

Jak wielu niepospolitych ludzi, samotne wiodących życie, nadzwyczaj lubił dzieci; z zadziwiającą trafnością umiał zniżać się do ich pojęcia i obudzać ich właściwe zdolności — dowód powołania i olbrzymiego daru nauczycielskiego, pod względem którego nikt mu u nas nie dorównał.

Doczekał się wreszcie Lelewel wielkiéj chwili, którą od dawna przewidywał. Rozpoczął się w Warszawie ruch 1861 r.

Ludowy jego kierunek, w myśl Piastowskiéj naszéj tradycyi wymierzający słuszność wiejskiemu ludowi i równouprawniający starozakonnych — odrodził go, odmłodził ducha nauczycielowi i przewodnikowi narodu. Rozpłakał się starzec rzewnemi łzami, kiedy 21 kwietnia 1861 trzy tysiące Belgów urządziwszy manifestacyą na korzyść sprawy polskiéj, przyszło mu doręczyć adres komitetu...

Tymczasem dotkliwa, niebezpieczna choroba, na którą od dwudziestu lat cierpiał, nie poddając się jéj, a nawet nie lecząc, przerażająco się wzmagała.

Przyjaciele jego Polacy i Belgowie wiedząc, iż w ubogiém życiu choroba ciągle się pogarsza, zaklinali go, ażeby przystał na propozycyą p. Fontainas, ówczesnego burmistrza Bruksellі, który z delikatną skwapliwością ofiarował mu parę pokoi w najlepszym szpitalu tutejszym, z wyjątkowém pozwoleniem wychodzenia na miasto i przyjmowania odwiedzin.

Regularne życie, pieczołowitość i systematycznie prowadzona kuracya mogłaby go jeszcze kilka lat zachować.

Lelewel jednak nie chcąc darmo mieszkać w szpitalu i nie chcąc pozwolić, aby składkowano dla niego 4 fr. dziennie, życzliwie słuchał wszelkich przedstawień, ociągał się jednak z zezwoleniem, twierdząc, iż się czuje zdrowszym.

Kilku Belgów, między innymi pp. Gendebien i Jottrand ofiarowali mu mieszkanie u siebie i gotowość do wszelkich pieniężnych usług — żal mu było rozstać się z biedném mieszkaniem swojém na ulicy des Eperonniers, do którego przyzwyczaił się od lat czternastu.

Kiedy choroba przybierała cechy coraz niebezpieczniejsze, 23 maja 1861 p. Gałęzowski i p. Eustachy Januszkiewicz przyjechali do Bruksellі i zdołali go namówić, żeby się z nimi udał do Paryża.

Lelewel — mimo kilkakrotnych uprzednich namów i zaproszeń do Francyi, wolał pozostać w małym ale wolnym kraiku, w milutkiéj a swobodnéj Bruksellі. życzył sobie nawet, aby zwłoki jego spoczywały na cmentarzu Saint-Gilles, dokąd czasem chodził na przechadzkę.

Przeważne snać powody skłoniły go tym razem, że przystał na propozycyą pp. Gałęzowskiego i Januszkiewicza, z którymi się jeszcze w Wilnie był przyjaźnił.

Rozpłakawszy się z gospodynią swoją panią Piron w wigilią odjazdu, podarował na pamiątkę dla swéj córki chrzestnéj krucyfiks i zaklinał, żeby nikomu nie wynajmować jego mieszkania, do którego wkrótce wrócić zamierza.

Już był bardzo osłabiony, kiedy wsiadł na koléj żelazną z pp. Gałęzowskim i Januszkiewiczem odbywszy zaś jednym ciągiem nużącą podróż 370 kilometrów w 66 godzin po przybyciu do Paryża — wyzionął ducha w domu zdrowia p. Dubois na ulicy Faubourg St. Denis.

Pogrzeb jego był raczéj manifestacyą sympatyczną dla Polski — wszyscy Polacy i tłumy Francuzów postępowały za trumną.

Nad grobem p. Ludwik Wołowski, członek instytutu, hołd złożył nauce badacza i zasługom nieskazitelnego patryoty, którego się szczycił przyjaźnią.

Młody rabin Astruc — w imieniu powszechnego

związku Izraelitów wyraził wdzięczność i uwielbienie dla człowieka politycznego, który zawsze stawał po stronie uciemiężonych, wytrwale walczył z przesądem i przemawiał za tolerancyą, która tak wysoko Polskę Piastowską i Jagiellońską postawiła.

Słowom jego serdeczna zgoda, jaka wówczas nastąpiła w kraju pomiędzy Polakami chrześcijanami a starozakonnymi — wielką nadawała ważność.

Rzemieślnik wreszcie francuski w bluzie, blacharz p. Chabaud, delegowany od rzemieślników paryzkich, wynurzył serdeczne współczucie dla Polski i uczcił patryarchę demokracyi polskiéj.

Lud ma instynkt prawie nieomylny w ocenianiu prawdziwych swoich przyjaciół. W Belgii a zwłaszcza w Brukselli nagła wiadomość o jego śmierci boleśnie się rozeszła. Bruksellczycy słusznie pozazdrościli Paryżanom zaszczytu posiadania zwłok Lelewela, który wygnany z Francyi, schronił się w ich mieście i dwadzieścia kilka lat zamieszkiwał, którego nawykli uważać za współobywatela swojego.

Odjazd jego, uwiezienie biblioteki, rękopismów i korespondencyi tajemniczo i nagle wykonane — nazywano porwaniem i wandalizmem.

Pan Eugeniusz Le Hardy de Beaulieu, p. Van Bemmel odzywali się, żeby rząd belgijski zażądał od francuskiego zwrotu zwłok Lelewela, aby — według jego życzenia pochowane były na cmentarzu Sain-Gilles, zanim do ojczyzny powrócą.

Polacy zebrali się 7 czerwca na posiedzenie ku oddaniu hołdu pamięci wielkiego swojego rodaka. Pan Wiktor Heltman i p. Lew Sawaczkiewicz wymownie przypomnieli i ocenili ten cały ciąg wielkich zasług, z jakich się życie jego składało. Pan Sawaczkiewicz, który był uczniem Lelewela w Wilnie, a następnie z niewielu przerwami, towarzyszem i pomocnikiem w niektórych pracach historycznych, jak to sam Lelewel wyznaje, lepiéj niż ktokolwiek inny, wtajemniczony w cały rozwój prac jego olbrzymich i w szczegóły życia ogłosił w ówczas prospekt dzieła, pod napisem: Wizerunek Lelewela w piśmiennictwie, polityce i rewolucyi. — Praca ta jednakże nieukazała się dotychczas. W roku 1862 r. kiedy nam tyle współczucia w całéj zachodniéj Europie okazywano, Polacy w Brukselli otworzyli składkę i kazali wmurować pod oknami biednego jego mieszkania na ulicy des Eperonniers, nad golarnią pani Piron, która zgon jego jakby zgon własnego ojca opłakiwała, tablicę marmurową, na któréj między dwoma orłami i dwiema pogoniami, w rogach namalowanemi, mieści się następujący łaciński napis: (Zob. nr. 30 str. 244.)

Joachimus Lelewel, Polonus,
Nuper nobis ereptus,
Virtute ac ingenio potens
Longo exilio invictus
Sub umbra libertatis Belgarum
Hanc aediculam
Ad firmandam patriae virtutem
Multos per annos
Satis amplam sibi judicabat.
Hanc tabulam ad aeternam rei memoriam
Cives Poloni dolentes posuere.
Boże zbaw Polskę!
MDCCCLXII.

W dosłownym przekładzie:

(Joachim Lelewel, Polak — nie dawno nam wydarty, potężny cnotą a geniuszem, nie zwyciężony w długiém wygnaniu, pod osłoną wolności Belgów — domeczek ten, dla potwierdzenia ojczystéj cnoty — przez lat wiele — za dosyć obszerny dla siebie uważał. — Tablicę tę ku wiekuistéj rzeczy pamiątce bolejący polscy obywatele położyli.)

Włodzimierz Wolski.

Olbrzymia kolej w Stanach Zjednoczonych.

Każdy wiek niemal przedstawia nam potężne, olbrzymie dzieła, które już to w mniejszym, już też w większym stały związku z rozwojem i pomyślnością ludzkości. Atoli podczas gdy dawniéj wznosiły się wielkie dzieła pracą niewolniczą, na rozkaz zwykle nieludzkiego despoty, dziś — w wieku dziewiętnastym — uskutecznia to praca zbiorowa, ochocza ręka płatnych robotników. Że wiek nasz więcéj, większych i pożyteczniejszych dzieł dokonywa, aniżeli dawniejsze, przypisać to należy niewątpliwie coraz bardziéj tryumfującéj zasadzie stowarzyszeń zawięzujących się w wzajemnych celach, w wzajemnych interesach. Zespolone ludzkie siły przekopały pod bystremi angielskiéj Tamizy wodami podziemną drogę, przez górę Mont-Cenis przekuwają sobie otwór i żelazny torują gościniec, suezkiéj cieśniny twardą kopią ziemię, by Morza Śródziemnego wody połączyć z Oceanem Indyjskim. Tego rodzaju dzieło dokonane zostało w ostatnich miesiącach bieżącego roku w Północnéj Ameryce. Ogromna bowiem kolej żelazna łącząca Ocean Spokojny z Atlantykiem już skończona; nowy nowożytnéj historyi cud już dokonany.

Roku 1862, a więc w drugim roku wojny domowéj, coraz szersze przybierającéj rozmiary, kongres waszyngtoński kolej tę olbrzymią wybudować stanowczo postanowił. Na postanowienie to rozmaite wpływały względy. Chciano przedewszystkiém nadmorskie zachodniéj Ameryki ziemie połączyć ściśléj z krajami wschodniemi Unii, daléj na przypadek wojny z Europą łatwiejszą zapewnić sobie ich zasłonę i obronę, wreszcie przez ściślejsze ich połączenie obudzić i podsycać poczucie narodowe, rozbudzić przemysł i handel i zapobiedz tém samém możliwemu oderwaniu się zachodnich krajów.

To też rząd amerykański żadnych nie szczędził ofiar i o ile możności przedsięwzięcie to popierał. Sam ogromnemi funduszami szedł w pomoc, ofiarował bezpłatnie ziemię pod mającą się budować kolej żelazną i wielkie nadał przywileje towarzystwom kierującym tą pracą ogromną, a mianowicie dwom towarzystwom Centralnemu, w którém brali udział kapitaliści zachodnich, Unijnemu, w którém brali udział kapitaliści wschodnich krajów Stanów Zjednoczonych.

Towarzystwo Centralne rozpoczęło swe prace już roku 1863 od miasta Sacramento, Unijne w dwa lata późniéj od Omaha nad rzeką Missuri. Początkowo praca zwolna tylko postępowała, bo trwająca ciągle jeszcze zacięta walka wystawiała Towarzystwa oba na pieniężne ryzyko. Za to po skończonym bratniéj krwi rozlewie, kiedy nowa w serca wstąpiła otucha, z odnowionemi siłami, z nową energią, obie strony do rozpoczętéj już rzuciły się pracy. Potrzeba było energii i wytrwałości żelaznéj, bezprzykładnéj pracy mrówczéj Amerykanów, na któréj innym brak narodom, by dokonać dzieła, które na największe napotykało trudności i zapory. Amerykanie nie ulękli się ani gór olbrzymich, ani nieprzebytych pustyń, ani skał, ani odwiecznych lasów, ani ogromnéj, bo 3300 angielskich mil wynoszącéj przestrzeni, rozciągającéj się pomiędzy San Francisco a Nowym-Yorkiem. Młot i miny torowały robotnikom drogę po przez twarde gór skały, konie i wozy o sta mil zwoziły strudzonym robotnikom potrzebną żywność, jaką trudno było znaleść w sercu dzikiéj pustyni przez Indyanów, wilki i bawoły zamieszkałéj. Na dwadzieścia i dwie mile było trzeba drogę dachem pokryć, by od śnieżnéj zabezpieczyć się zawiei, która często miesiącami, tygodniami i tak już powolną wstrzymywała pracę. Zamiast łopaty, zamiast młota

uznojony robotnik musiał nierzadko chwytać za broń, by spędzić z drogi dzikich Indyanów, wszelkiemi siłami budowie kolei żelaznéj stawiających opór. Z piką i łopatą w ręku posuwały się robotników tłumy, uwożąc ze sobą żywność, taczki, kuźnie, wszelkie potrzebne narzędzia na koniach i wozach. Co rana posuwały się w ten sposób pracowników tysiące wraz z namiotami swemi, ruchomego miasta przedstawiając widok. Z trudnych prac najtrudniejszéj dokonać przypadło Towarzystwu Centralnemu, bo przebić drogę tunelową przez skaliste góry Sierry Newady. Nie dziw, iż męcząca ta nad zwalczaniem twardego żywiołu robota na dość długo przykuła pracowników do jednego miejsca.

Oba Towarzystwa, jedno od strony Oceanu Atlantyckiego, drugie od strony Spokojnego pracując, wszelkich dokładały sił, by co rychléj wybudować wytkniętą sobie linią, stanąć u celu i dotrzeć do Promontory Summit, do punktu, gdzie się po krwawéj pracy obie miały zetknąć linie. Towarzystwo Centralne głównie ubiegało się o ten honor. Z gorączkową niecierpliwością co wieczór wyczekiwano w San-Francisco wiadości telegraficznéj, chciwie ją odczytywano, bo wielce pragnęła Kalifornia zwycięztwa nad Wschodem. Jako też na Zachodzie pracujący chińscy robotnicy w ostatnim jeszcze tygodniu odnieśli zwycięstwo nad europejskimi pracownikami Towarzystwa Wschodniego głównie przez Niemców i Irlandczyków reprezentowanego. Dnia 28 kwietnia r. b. bowiem o dziesięć mil angielskich w 11 godzinach naprzód się posunęli, gdy tymczasem ci na 7 tylko mil żelazny utorowali gościniec.

Dzień 10 maja olbrzymiéj téj pracy nareszcie położył koniec. Dnia tego dwa, choć już znacznie zmniejszone roje robotników stanęły naprzeciw siebie pod Promontory Summit. Był to dzień uroczysty, dzień pamiętny w dziejach Ameryki, w dziejach cywilizacyi, bo dnia tego padły na szyny żelazne ostatnie uderzenia młota, bo dnia tego wiekopomne ukończono dzieło.

Na ciemno-zielonych wyżynach jeszcze rozbite robotników bieliły się namioty, gdy tysiące jeźdzców wśród tumanów kurzu w tę i w owę przebiegało stronę, a tysiączne okrzyki radosnych tłumów o wyniosłe gór odbiwszy się czoła, tysiączne budziły echa. Był to widok wspaniały wśród natury, o jakiéj my w Europie nie mamy wyobrażenia, wśród dzikiéj pustyni, w któréj dopiero odtąd budzić się zacznie życie. Ku południowi lśniły srebrne wody Słonego Jeziora się wody, wyrosłych wśród nich romantycznych wysp wysokie góry długim na nich stały się cieniem, spokojne łodzie wesołych żeglarzy srebrzystym rysem zwierciadlane znaczyły fale. Ku południo-wschodowi szafirowe przyczoła gór Warachtu dumne wynosiły wierzchołki ku błękitom lazurowych niebios. Ludu zebrały się tłumy.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

W sprawie grobów królewskich na Wawelu.

Ofiary pieniężne spowodowane odkryciem zwłok Kazimierza Wielkiego, wpływają ciągle. Składano je na trumnę srebrną, na szklanną, na miedzianą, na koszta uroczystego pochowania kości, na odnowę sarkofagu, a nawet na grobowiec nowy — odkąd zaś Prezes Towarzystwa naukowego krakowskiego (odezwą swoją z dnia 30 czerwca b. r.) wpłynął na ujednostajnienie celu owych składek, przesyłane bywają przeważnie na restauracyą pomnika. Spodziewać się więc wypada, iż pozostanie znaczna kwota, nie mająca dotąd przeznaczenia, gdy wniosek pana Szujskiego (aby z ofiar tych stypendyum utworzyć) nie został poparty. Będzie więc na czasie projekt mój, który pod uwagę publiczną podaję.

Jak wiadomo, nie było i nie ma uposażenia na utrzymanie grobów i pomników królewskich na Wawelu. Kapituła katedralna krakowska, opiekowała się niemi; a w miarę zasobów swoich (szczególnie od czasów już Stanisława Augusta) od znisczenia je chroniła. Cesarz Ferdynand I, a następnie cesarz Franciszek Józef, łożyli także na naprawy trumien. Wreszcie nasze Towarzystwo naukowe groszem z ofiar publicznych uzbieranym, zabezpieczyło kaplicę Zygmuntowską, a restauruje grobowiec Kazimierza W. Sejm krajowy i Rada miasta Krakowa nie miały dotąd sposobności poparcia w tym kierunku usiłowań Kapituły, Towarzystwa naukowego i władzy konserwatorskiéj; tylko hr. Gołuchowski w r. 1866 w styczniu, gdy go w Towarzystwie naukowém przyjmowali, objawił Prezesowi Majerowi i mnie niejakie zdziwienie, że wpływając na restaurowanie tylu pomników nie podnosimy potrzeby zwrócenia usiłowań ku utrwaleniu trumien i monumentów królewskich. Odpowiedziałem wtedy panu Namiestnikowi przytoczeniem tego, co zrobiła kapituła katedralna w grobach i co Towarzystwo nasze uczyniło w sprawie zabezpieczenia kaplicy Zygmuntowskiéj.

Sądzę, że obecnie pora inicyatywy, że czas stósowny do postawienia wniosku, użycia pozostałości od kosztów odnowy pomnika Kazimierza Wielkiego na początek funduszu restauracyi grobów, monumentów i trumien królewskich. W takim razie, zapał trwałością swoją przyczyniłby się do stałego przedsięwzięcia, którego trzeźwy kierunek zostawićby wypadało Kapitule katedralnéj, władzy konserwatorskiéj i Towarzystwu naukowemu. Przyszłoby zapewne grobowe sklepy Wazów i Jagiellonów złączyć z kryptą, w któréj leży Sobieski, a trumny przestronno rozsunąć, ustawiwszy je na piedestałach. Groby mogłyby zyskać przez to na powadze, któréj dzisiejsza ich ciasnota ubliża. Stać się to może rychło — przecież nie straci rzecz i na tém, jeśli roboty wedle raz przyjętego planu przedsięwzięte, spokojnie, powoli, w miarę wpływów pieniężnych postępować będą. Lepiéj zacząć, lepiéj nawet dziesięć lat robić, niż czekać, aż kiedyś, w jednym roku, przedsięwzięcie dałoby się wykonać.

Do postawienia wniosku tego upoważnia mię poniekąd udział, jaki nam w stanowiskach skierowanych do stróżowania zabytków przeszłości i sztuki; a więc ośmielajac się przedstawić myśl moję pod uwagę publiczną, upraszam Szanowną redakcyą Czasu przejmie o ogłoszenie listu niniejszego w ufności, że inne dzienniki powtórzyć i poprzeć go raczą.

Kraków, dnia 23 lipca 1869 r. Łepkowski.

Zagadka.

Zwierz jestem, doskonałą daję wam pieczenię,
Wsadź mi głoskę na czoło, — w miasto się przemienię.

(Rozwiązanie szarady w nr. 31: ***Myśliwy.***)

Wiadomość o nowych książkach.

Bodzantowicz. Rodzina konfederatów (Józef i Kazimierz Pułascy) 8. 376 str 1 tal 22 srb. 6 fen.
Gordon Obrazki Galicyjskie. Sanok 8. 245 stu. 1 tal. 10 srb.
Kalendarz Rakowicza na rok 1870. 5 sgr.
Pierwszy to kalendarz na rok przyszły — zawiera prócz kalendarza, spisu jarmarków, genalogii, pięknie napisaną rozprawę o obowiązkach względem narodowości i kilkadziesiąt fraszek z illustracyami.
Połączenie Litwy z Polską na pamiątkę 300letni rocznicy Unii Lubelskiéj na dniu 11 sierpnia opowiedział dla ludu Mieczysław z Poznania 86 str. opr. 5 srb.
Schumann R. Rady dla młodych muzyków 16 str. 3 srb.

Mieczysława Leitgebra,
Księgarnia i wypożyczalnia Nut

PUSZKA DO LISTÓW.

Panu J. M. pod Kiszk. Szczerze dziękujemy za pamięć. — Panu N. z Inowrocławia: Kwestye poruszone w poezyach Pańskich kwalifikują się więcéj na sejmik Toruński aniżeli dla Sobótki — Panu Stanisł. Kozł. w Tadeuszowie: Gdyby wyrób Pański lepiéj był „uszyty", chętniebyśmy go przyjęli. — Panu T. R. z Lubawy: Podobno minister zażądał ich wydalenia z Krakowa, i my nie damy im przytułku w łamach Sobótki. — Panu F. w Grodz. Dziękujemy.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ul. nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznanniu.
Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.